

IGOR NEVERLY

Przeciw rządowi terroru i nędzy

Wyjątek z powieści p. t. „Pamiętka z Celulozy”

Na dnie kotliny zrobił się zator. Pochód mijał się na stronie, wypinał, ale naprzód ani rusz posunąć się nie mógł. Defilada się skończyła, mówili Potoczki wrócić ze zwiadow, wojsko przeszło i konnica chłopska, 6000 koni. Teraz ma iść „chłopska piechota”, czyli cały ten lud, sto czy sto pięćdziesiąt, czy dwieście tysięcy — kto by to zliczył!

Gruska, prezes stronnictwa na Małopolskę, wezwał do marszu pod kopiec, gdzie czeka na nich generał Rydz-Śmigły.

— Nie chcieli iść! Takie było wzbudzenie, kochani, że strach. Ale prezes Gruska odwołał się do rozumu, że trzeba jednak spróbować. Spróbujemy ostatni raz, niech Rydz — przemówi!... Wtedy poszli. Ale teraz znów coś się stało.

Tymczasem ci, co powłazili na drzewa, wykrzykiwali:

— Rezerwiści się pchają, łobuzy! Rezerwiści i strzelcy!

— W mordę lizaków! — wołano z dołu.

— Już się robi! Nasi wala!

Słuchali dalej komunikatów z najwyższych galezi: prezes Gruska chce pogodzić — koło z Rakuszawy, co stoi na czele, naciera na niego — ktoś go kopnął i Gruska uciekł na trybunę. Potoczki jednak:

— Prezesa kopnęli, ludzie kochani!

— Widzicie, tego także nie było w programie...

Rezerwiści, korzystając z zamieszania, wymknęli się na defiladę, ale strzelców rakuszawczy nie puszczili i sami poszli, a za nimi inni z Łańcuta. Pochód ruszył.

Jasieńczy z Potoczkiem zakrzętnęli się, żeby ze swoim tysiącem spóźnionych wejść do pochodu, i wtedy właśnie Żebro Władek powiedział do Maryśki:

— Teraz na nas kolej.

Kamykówna wyjęta z torby czerwony proporzec, Władek nadział go na łaskę i podniósł wysoko nad głowę.

Ludzie, których Jaś daremnie prosił, aby się zatrzymali i zrobili dla nich miejsce — naraz sami stanęli. Jasieńczy spojrzeli, gdzie wyszyscy patrzyli — za siebie, a tam była w górę czerwien jara, ognista! Jeden jedyny proporzec i dwa transparenty, razem trzy płomyki z szumiącą dokoła zieleni.

Skoczył do Władka, ale po niechciał tego w pół drogi, między czerwonym a zielonym. Był pośrodku, był w kropce. Odczuł przecież wazką ciszę w tej chwili, chwili jak zamary jęczyczek u wagi, jak kula bilardowa na krawędzi luzu. Jedno drgnienie, jedno muśnięcie, a przechylili się raptem w tę czy w tamtą stronę.

I nie mogąc zacząć z Władkiem w takiej chwili, patrzył za innymi na niewielką grupę, jak się zwała wokół Szczęsnego, zdecydowana na wszystko. Znalazła się wszakże w samym środku obcego stronnictwa. W dniu bardzo gorącym, gdy księża młodzież pobito i endeków, i sanacyjnego Strzelca... Mogli ją również uznać za obce ciało i tak samo wyrzucić.

Chwiał się transparenty ludowców „Żywią i broniamy!”, „Reforma rolna!”, „Amnestia!”, „Sprawiedliwości i

Był to okres, gdy przykład klasy robotniczej porywał do walki masę pracującego chłopstwa. Narastało rewolucyjne wrzenie, a „policja Rydza-Śmigłego ogień karabinów broniła pańskich dworów przed strajkiem robotników rolnych” — jak pisał wówczas organ KC KPP „Czerwony Sztandar”.

Aby rozładować gniew i pragnienie walki wśród mas chłopskich, przywódcy Stronnictwa Ludowego zorganizowali 29 lipca 1936 roku wielką uroczystość w Nowosielcach. Zaproszono na nią Rydza-Śmigłego i osławionego wojewodę Beline-Prażmowski. Manifestacja w Nowosielcach — wbrew intencjom jej organizatorów — przekształciła się w żywiołowy protest mas ludowych przeciw rządowi terroru i nędzy.

W trzy dni po uroczystościach nowosieleckich, w tym samym powiecie, od kul policjantów padło pięciu

chłopów zabitych i kilkudziesięciu rannych podczas strajku robotników rolnych.

A w roku 1937 w rocznicę manifestacji w Nowosielcach chłopcy proklamowali strajk, manifestując swą jedność z walczącym proletariatem. Ofiarą salw policji padło wówczas według „oficjalnych” danych 41 chłopów.

Mimo policyjnego terroru, mimo ofiar opór i nieważności przeciwno sanacyjnym ciemnościom wrażliwości wśród mas chłopskich.

Przytoczony wyjątek z powieści Igora Neverlego pt. „Pamiętka z Celulozy” daje artystyczny obraz przebiegu manifestacji w Nowosielcach, która rozpoczęła nowy okres walk chłopskich z sanacją.

pracy!... I te naprzeciw: „Ziemie bez wykupu!” i „Władza dla chłopów!”. Na czerwieni wykletej z ambony, zakazanej przez władze stronnictwa kłudy w oczy słowa najprawdziwsze. Sedno wszystkiego: ziemia i władza!

Ktoś zakrzyknął z lwowska — Ta puszcicie, niech idą!

Szeregi się rozstąpiły, idąc dyscyplinie stronnictwa i nawołując się jednościami chłopską: — Niech żyje front ludowy! — i komórka rzekucka popłynęła z pochodem ludowców jak goździk w wiązku niesionym wysoką wodą świętojańską.

Przypominał się Pierwszy Maj we Włocławku w tym roku, tak samo triumfujący, jednolitofrontowy! Chciałoby się zawołać jak wtedy: „Wakon wziął!” Ale nikogo nie było z Celulozy, nikt by nie zrozumiał tej komendy, waznie, chociaż sens jej, że

masa gotowa i sztucery są — unosił się nad ludem: rozkołysanym, świadomym swej liczby i siły.

Posuwali się wolno w ścisłości i kurzu, przystając co chwila. Do miejsca defilady było jeszcze daleko...

...Stodoła stała na skraju łagodnej spadziny, podstrzeszem do drogi i kopca. Przystawiono drabinę, położyli po niej i siedli rzędziem na szczeblach jeden nad drugim: Potoczki, Szczęśni i najwyżej — redaktor z lornetką i aparatem.

Widziało się całą równinę pokrytą narodem, kopiec niewielki, metrów piętnaście wysokości, z szarym kamieniem na czubku. Droga, którą sunął pochód. Na niej trzy bramy powitalne — dla wodza, dla biskupów i dla ludu. Wreszcie dwie trybuny na wprost siebie, przez drogę: na jed-

nej stał wódz w otoczeniu generalicji i obu biskupów przemyskich, a na drugiej panowie ze stronnictwa.

Biskup Barda skończył właśnie kazanie. Ludzie oglądali się za wodzem. Wódz milczał.

— Robi się na sfinksa — zauważył redaktor, patrząc przez lornetkę. — Za mało mamy Edzia szanować. Brama chcą się wykrecić! A gdzie wiwaty, owacje, marsz generalicki?! Nie, nie będzie gadał. Obrazł się...

Na trybunie ludowców ktoś podszedł do bariery. Na chwilę uchyłło.

— W imieniu chłopów nowosieleczan, potomków obrońcy...

Dalsze słowa pogwarzdmuchnął.

— To Słysz, nasz przewodniczący w Nowosielcach i w powiecie. Franciszek Słysz.

Nic się jednak nie słyszało. Czytał z kartek.

— Nie wiecie przypadkiem, kto mu to napisał: Rataj, czy Mikołajczyk?

— Pan by tylko kpił i z każdego się naśmiewał. Czy to chłop sam nie potrafi?

— Owszem, kiedy jest sam, bez polityków. Politykę znam od kuchni i śmietnika i mogę nawet powiedzieć, gdzie to wszystko było przyrządzone: na Hożej!

Tymczasem Słysz, z kartek dukując, wspominał widocznym o Witosie, bo się zerwała burza oklasków i to imię wybiło się ponad wszystko. A gdy się uciszyło, czekał na odpowiedź najwyższego czynnika.

Odpowiedzi nie było. Spadkobierca buławy i legionów stał posagowo; i masy ruszyły w końcu swoją drogą.

— A przecież wiezi go

chłopskim wozem, w cztery piękne siwki — rzucić znów z góry redaktor — Miałeś, Edziu, złoty róg!

Szli górale, przed trybuną przystanęli, jeden wystąpił, coś powiedział i ciupage podnosząc, pogroził zda się generałowi o głowie wygolonej na poler. Generał odsalutował.

— Rezolucje oddaje. Rezolucje, cośmy na bioniach uchwili! — objaśnił Potoczki.

— Co za jeden?

— Krzeptowski Wacław, prezes na nowotarskie. Temu to ja nie bardzo wierzę. Mnie się zdaje, że jest od nich nastany.

Na drodze zrobiło się pstro i barwiście. Śpiewając: „Nie damy ruszyć naszych węglów”, szło Rzeszowskie w kamizelach błękitnych, w sukmanach brązowych, z piórami i wstążkami u czapek — przetykane kremowymi „koronówkami” na głowach niewiast, granatem i bordem ich gorsetów aksamińnych. Szalest krochmalnych białych spódnice dzwonkowatych słyszeł zda się jeszcze, gdy dawno minęły, gdy szło już Podkarpackie z pierwszym sztandarem czerwonym.

Ubiegli Rzekuckie. Nie Rzekucie było tu pierwsze. Byli już tacy, co przed nim bluznęli Rydzowi czerwienią i śpiewem: „Gdy naród do boju...” Nieśli wysoko przed trybuną magnatów swą krzywdę zapiekłą i parli, szumiąc szorstko prawdą nieprzejednaną. Z różnych regionów wykwitwały już poporce podwójne, zielone z czerwonym i zgodnie raz po raz wybuchają: „Precz z sanacją!”

Spojrzenie — tracił redaktor Szczęsnego — to zdaje się ta sama młodzież, z którą szliśmy od stacji.

Spojrzał przez ramię. Redaktor podawał mu lornetkę. Na brzusku dłoni była kotwica. Nie patrzył na Szczęsnego, chłonąc krajobraz z dobre znany skądinąd wyrazem szczeniackiej łapczywości: — Ciekawe, czym to się wszystko skończy...

— Popatrz pan? Poproszę teraz... Czyżby odchodził? Niemógł!

A jednak tak było. Wódz wykrecił się na pięcie i poszedł z trybuny. Na stopniach komus głową skinał, ten zaraz służbiście zajął opuszczone miejsce. Podawano samochód. O wozie chłopskim nie było już mowy.

Wszyscy trzej śledzili ceremoniał odjazdu. Lornetka znów powędrowała z góry na dół.

— Major — orzekł Potoczki, spojrzawszy przez szkła. — Co pan gada! Na pewno wojewoda Belina-Prażmowski albo hrabia Gołuchowski. Nikomu innemu z tych na trybunie nie mógł on powiedzieć zaszczytu reprezentowania armii i rządu.

— A ja mówię, że major! Z Łańcuta, z 10 pułku strzelców konnych. Znam go, tylko nazwisko takie cholerne... Zaraz sobie przypomnę...

— No, jeśli on pierwszego z brzegu oficera postawił do reprezentowania najwyższej osoby, to jest zły, wściekle zły. Drżyj ludu niewierny!

Ale lud nie sobie z tego nie robił. Witos do niego zza kopca nie wyszedł, ani wódz naczelny nie przemówił. Lud zawiązany pomstował i walił drogą szeroką daleko za kopiec Michała Pyrza.

W PUSTYNI KARA - KUM ROZWIJA SIĘ WIELKA BUDOWA

sku, ale dwa słowa rozumieją dobrze — „Moskwa”, „kanał”. Te słowa to

klucz do serca mieszkańców pustyni

Są one jakby symbolem braterstwa ludów Związku Radzieckiego. W pracy na wielkich budowach komunizmu biorą udział przedstawiciele różnych



Oto obraz pustyni Kara-Kum przed kilkudziesięciu laty: wyprawa idąca przez morze piasków natrafiała co jakiś czas na kości zwierząt, które zginęły z braku wody. Obecnie Kara-Kum dzięki budowie wielkiego kanału łączącego Amu-Darię z M. Kaspijskim, zostanie nawodniona i przekształcona w pastwiska.

narodów ZSRR. Tak było przy budowie kanału Wolga - Don, tak jest i na budowie Kanału Turkmeńskiego. Z całego kraju płyną tam maszyny i sprzęt techniczny, a przede wszystkim zdążają ludzie pełni entuzjazmu i zapału, wśród nich bogaci w doświadczenie budowniczy kanału Wolga - Don.

Jednym z głównych problemów, było znalezienie na miejscu materiałów budowlanych. Szło szczególnie o odpowiedni gatunek piasku do wyrobu betonu. Instytut Geologii Akademii Nauk Turkmeńskiej SRR zbadał ponad sto tysięcy rodzajów materiałów budowlanych i opracował metody ich zastosowania. W nowopowstałym mie-

ście Tachia - Tasz — jednej z głównych obecnie baz budowy — wyrabiany już jest beton z miejscowych materiałów według metody opracowanej przez Akademię Nauk Uzbekistanu.

Dla gospodarki radzieckiej Kanał Turkmeński mieć będzie ogromne znaczenie. Stworzy on nie tylko warunki umożliwiające rozwój rolnictwa — hodowlę bydła, uprawy zbóż, a przede wszystkim bawełny — ale dzięki elektryczności, której dostarczą liczne elektrownie wodne, powstanie tam przemysł, a nie wyzyskane dotychczas należycie z powodu braku wody złoża ropy naftowej, siarki, soli mineralnych i węgla w zachodniej Turkmenii, zostaną w pełni wykorzystane.

Kanał Turkmeński ciągnąć się będzie na przestrzeni 1.100 km, a więc

będzie dłuższy od Wisły

Na tej ogromnej magistrali wodnej zostanie zbudowanych 12 potężnych hydrowłazów z tamami, słuzami żeglownymi i elektrowniami wodnymi. Wzdłuż kanału, osłoniętego lasami i sadami, powstanie według tymczasowych planów 48 ośrodków przemysłowych i kulturalnych, 36 stacji maszynowo - traktorowych, 18 fabryk bawełnianych i tkalni jedwabiu oraz wiele innych fabryk włókienniczych i tkackich.

Amu - Daria wpada do Morza Aralskiego, które jest morzem zamkniętym i nie spełnia wobec tego swej roli arterii komunikacyjnej. Główny Kanał Turkmeński łącząc Amu-Darię z Morzem Kaspijskim, połączy ją tym samym z Wolgą przez kanał Wolga - Don z Morzem Czarnym, a przez Kanał Moskiewski z Bałtykiem. Ta droga uzyska się możliwość taniego transportu wodnego między Azją, Środkową i europejską częścią Związku Radzieckiego.

Dążąc do pokoju naród radziecki wypowiedział wojnę przyrodzie. I to wojnę zaciętą, bezlitosną. Etapy tej wojny znaczą ochronne pasy leśne, budowa Kanału Wolgo - Dońskiego i Głównego Kanału Turkmeńskiego. W wojnie tej nie ma i nie może być błędów przegranych, gdyż prowadzi ją cały naród budujący nową, lepszą przyszłość.

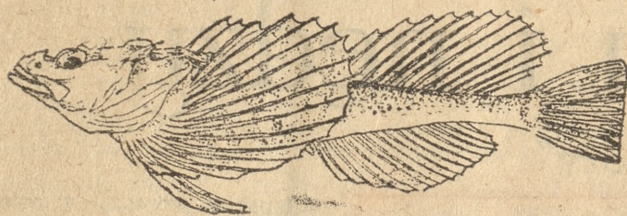
B. Cz.



Małż Yoldia arctica

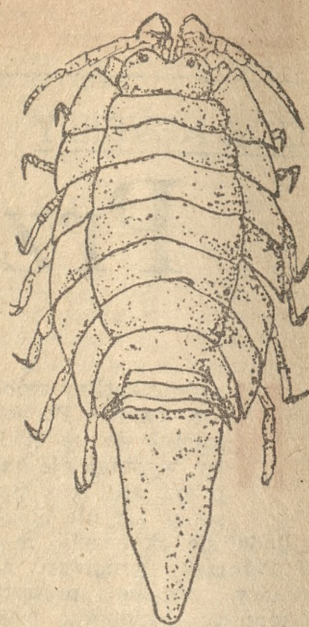


Skorupka ślimaka pobrażka (Litorina littorea)



Głowacz rogacz (Cottus quadricornis)

Dzieje Bałtyku



Podwój (Mesidotea entomon)

Mogłoby się wydawać, że Bałtyk jest zwykłym morzem o takim charakterze jak powiedzmy Morze Śródziemne czy Czarne. Jednak tak nie jest. Badania wykazały, że miał on bardzo ciekawą i urozmaiconą historię. By wyjaśnić specyficzny charakter naszego morza, prześledźmy jego dzieje.

Na mniej więcej 15000 lat przed naszą erą, kiedy potężny lodowiec opuszczał teren naszego Pomorza, zaczęło powstawać pierwsze jezioro lodowcowe. Powiększało się ono w miarę cofania się ostatniego zlodowacenia, aż

wreszcie uzyskało połączenie ku wschodowi z Oceanem Lodowatym, a ku zachodowi z Atlantykiem.

Słodkowodne jezioro na skutek wymiany wody z sąsiadującymi morzami stopniowo zaczęło nabierać charakteru morskiego. Zwiększyło się jego zasolenie, co umożliwiło imigrację licznych zwierząt i roślinom żyjącym czy to w Oceanie Lodowatym, czy to w Atlantyku. W krótkim stosunkowo czasie zostało ono całkowicie skolonizowane przez północnych przybyszów.

Spośród kopalnych szczątków tego okresu dominuje niewielki małż noszący łacińską nazwę Yoldia arctica. Tak masowe występowanie tego mięczaka skłoniło przyrodników do nadania temu Pra-Bałtykowi nazwę morza Yoldiowego (ca 8000 lat przed naszą erą). Posiadało ono sto sunkowo wysokie zasolenie, zbliżone do Morza Lodowatego oraz bardzo niską temperaturę. Północne jego partie pokrywał wieczny lód, a obecną Zatokę Botnicką wypełniał lodowiec.

Z biegiem czasu, kiedy lodowiec zmniejszył swój zasięg do łądu obecnej Skandynawii, połączenie morza Yoldiowego z sąsiednimi morzami zaczęło stopniowo stawać się coraz płytsze, na skutek unoszenia się łądu. Ruchy skorupy ziemskiej posunęły się tak daleko, że wreszcie morze Yoldia stało się jeziorem całkowicie otoczonym przez ląd. Masy wlewające się wody z rzeki Odry i Wisły doprowadzały do stop-

viatilis. Od tego ślimaka pochodzi nazwa tego stadium Bałtyku.

Jak już wspomnieliśmy jezioro Ancylus (ca 5000 lat przed naszą erą) zostało zamknięte przez ląd. Od zachodu otaczał je uniesiony przez ruchy skorupy ziemskiej pomost lądowy w miejscu dzisiejszego Skagerraku i Kattegatu. Od północnego wschodu zaś zamykał je obecny ląd. Klimat ocieplał się. Lodowiec cofał się i ograniczył jedynie do gór Skandynawskich. Powoli kształt kontynentu ulegał ponownym zmianom. Pomost lądowy w miejscu Kattegatu i Skagerraku powoli zaczął się zapadać w morze, aż wreszcie jezioro Ancylus znów połączyło się z Atlantykiem. Masy słonej wody wtargnęły do słodkiego jeziora. Połączenie było tak wielkie, że umożliwiło swobodną wymianę wody pomiędzy obu morzami. Jezioro zaczęło zmieniać swój charakter. Tysiące organizmów słodkowodnych gineło od niekorzystnych dla nich warunków, a miejsce ich zastępowały formy morskie. Procesowi temu sprzyjało zwiększające się zasolenie, które doszło wówczas do 1,3%, było więc ono dwukrotnie większe niż obecnie 0,3—0,7%.

Stosunkowo ciepły klimat i duże parowanie zapobiegały wysłanianiu się morza. Liczne morskie organizmy zdomowały się w naszych wodach. Wybrzeża zamieszkiwały powszechnie, wymarły już dziś u nas, ostregi i ślimaczki przybrzeżki (Littorea litt-

wielką, a o interesujących kształtach rybkę noszącą nazwę głowacza rogacza (Cottus quadricornis), pojawiającą czasem przez rybaków na głębi gdańskiej czy bornholmskiej. Na głębiach tych spotykamy również dużego stonoga morskiego, podwoja (Mesidotea entomon). Wstępuje on również w wymienionych powyżej jeziorach Vänern i Vättern w Szwecji, co właśnie dało podstawy do drugiej z wymienionych powyżej hipotez. Podwój ma wielkie znaczenie gospodarcze, ponieważ stanowi główny pokarm dorsza. Na północ wreszcie, w Zatoce Botnickiej spotykamy jedyną fokę występującą w Bałtyku, fokę obrączkową (Foca annelata). Wszystkie te relikty wybierają na swoje siedliska miejsca zimne, a jeżeli chodzi o podwoja i głowacza to wymagają one prócz tego wysokiego zasolenia, które znajdują na głębinach.

Przeglądając się dalej faunę Bałtyku znajdziemy w niej również szereg zwierząt pochodzących z mórz o wielo ciepłszych niż obecny Bałtyk. I tak wśród ryb spotykamy np. makrele, belone i iglicznie pochodzące z Morza Śródziemnego lub południowego Atlantyku. Większość jednak spośród naszych zwierząt pochodzi z północnego Atlantyku czy Morza Północnego, a są nimi np. dorsz czy omulek.

Wszystkie te morskie organizmy mają bardzo kiepskie warunki bytowania, ponieważ zasolenie wody Bałtyku jest niskie. To właśnie jest przyczyną, że organizmy żyjące w Bałtyku są znacznie mniejsze od tych samych gatunków żyjących w Morzu Północnym czy Atlantyku. Prócz morskich gatunków spotykamy również w licznych zatokach i wysłodzonych partiach Bałtyku wiele gatunków słodkowodnych. Nieomal 60 proc. gatunków ryb żyjących w dolnych partiach rzek wchodzi do Zatoki Gdańskiej czy Botnickiej. Znoszą one nieco wyższe zasolenie stosunkowo łatwo i bez wielkich przeszkód. W słonych wodach spotykamy większość ryb karpiowatych, niektóre ślimaki i nawet nieznaczne owady.

Na zakończenie należy jeszcze dodać, że Bałtykowi brakuje jednak najbardziej morskiej cechy, a mianowicie brak mu wielkich głębin, do których nie dociera światło słoneczne (nieco ponad 200 m).

Bałtyk jest morzem szelfowym*). Cały masowy jego wody ulega prześwietleniu przez słońce, tak że nawet w największych jego głębinach spotkać można rośliny. W związku z tym brakiem Bałtykowi zgoła typowych zwierząt morskich. Z uwagi na wspomniane powyżej cechy takie jak: niskie zasolenie, małą głębokość i zmienny klimat. Niektórzy uczeni są zdania, że Bałtyku nie można uważać za morze w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz za pewnego rodzaju słodkowodne jezioro.

*) Morze szelfowe to morze leżące na polce skalnej otaczającej kontynent. Jego głębokość nie może przekraczać 230 m.

W podziemiu wolnej Hiszpanii

(Rozmowa z młodymi Hiszpanami)

Przedstawiciele Zjednoczonej Socjalistycznej Młodzieży Hiszpańskiej w Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, spotykamy w lokalu Zarządu Głównego ZMP. Przebyli oni długą drogę, zanim dotarli do Warszawy na Zlot Młodych Przewodników. Drogę najeżoną bagietkami posterunków granicznych, stojących na straży interesów imperializmu. Nie złamały ich jednak żadne trudności. Przewyciężyli wszelkie przeszkody, aby powiedzieć światu prawdę o walce młodzieży hiszpańskiej, przerwać zbrodniczy „spisek milczenia”, jaki prasa kapitalistyczna krajów zachodniej Europy uknuła przeciwko bohaterstwu narodowi hiszpańskiemu.

— Wy, którzy przeżyliście okupację hitlerowską — mówi młody dziennikarz Paulino Ledo — pamiętacie do brze uczucie, z jakim słuchaliście wolnego radia. To samo przeżywamy i my dzisiaj. Nocami, we wsiach i miastach hiszpańskich zbierają się wokół odbiorników grupy młodzieży. Trudno opisać wzruszenie słuchaczy, gdy w głośniku rozlega się głos Moskwy, Pragi, czy Warszawy.

Smagła twarz młodego delegata rozjaśnia się promiennym uśmiechem, gdy mówi o Polsce.

— Naród nasz łączy braterskie więzy z narodem polskim. Datuje się to jeszcze z czasów wojny domowej, kiedy pod Jarama, Bruneto i Teruelem, Polacy walczyli przy boku armii republikańskiej. Nie zapomniemy nigdy o naszym wielkim bohaterze, który był jednocześnie naszym bohaterem — o generale Walterze.

— Wspólna jest nasza walka — mówi drugi delegat — wówczas walczyliśmy z hitlerowskim faszyzmem, dziś walczymy z amerykańskimi imperialistami.

Walka ta jest dziś dla narodu hiszpańskiego bardziej konieczną niż kiedykolwiek. Franco bowiem ostatecznie już sprzął się z amerykańskimi imperialistami i wyprzedaje Hiszpanię hurtem. Jak opowiadają nasi goście, 57 lotnisk i 9 baz lotniczo-morskich w Hiszpanii i na okolicznych wyspach znajduje się pod kontrolą amerykańską. Porty w Vigo, Almeria i Kadyksie zamienione zostały w bazy wojskowe. W porcie Santa Cruz de Tenerife buduje się pod kierunkiem amerykańskich techników wielką rafinerię ropy. Amerykanie przeznaczili 13 800 000 dolarów na budowę kolei i dróg strategicznych. Tak oto Franco realizuje zalecenia raportu admirała Fehtelera, wyznaczającego Hiszpanii rolę bazy agresji i prowokacji na południowym krańcu Europy.

— Jaka jest rola młodzieży w walce przeciwko militarystyce Hiszpanii? — pytamy delegatów.

— Młodzież jest szczegó-

nie zainteresowana w tej walce, na niej bowiem koncentruje się uwaga imperialistów, pragnących wykorzystać ją jako mięso armatnie. Amerykanie chwają się, że „studenci hiszpańscy są najlepszymi żołnierzami, bo mogą maszerować wiele kilometrów tylko z kawałkiem chleba i sera w kieszeni”. Ambasadorka dyktatora Franco w Waszyngtonie, Lequerica, obiecał Trumanowi 2 800 000 żołnierzy, z czego 500 000 jest już zmobilizowanych. Młodzież nie chce jednak przelewać krwi w obronie amerykańskich interesów. Widzi ona, że przyczyną jej obecnej tragicznej sytuacji, niskich zarobków, wysokich opłat za studia, braku pracy po ukończeniu nauki, głodu i nędzy (ostatnio spalono w Hiszpanii 35 milionów kilogramów żywności, bo nie było komu jej sprzedać) jest wyłącznie reżim frankistowski. Nie więc dziwnego, że nie chce walczyć w jego obronie. Nawet ta młodzież, którą przymusowo wciela się do wojska, coraz bardziej przeciwstawia się frankistowskiemu terrorowi. Na przykład podczas strajków w Barcelonie, gdy policja zwróciła się do gubernatora o przysłanie kilku oddziałów wojska dla stłumienia walk ulicznych, gubernator odmówił, oświadczając, że wojsko „nie jest pewne”. Zdarzają się również liczne dezercje z wojska do partyzantki. Jeden z takich dezertów utworzył niedawno wielki oddział partyzancki im. Santiago Carillo, który wiele kłopotu przysparza frankistowskiej Gwardii Cywilnej.

— Jakże są wasze wrażenia ze strajków barcelońskich? — pytamy.

Strajki w Barcelonie wykazały olbrzymią przepaść, jaka dzieli Franco nie tylko od klasy robotniczej i chłopstwa, ale i od warstw drobnej i średniej burżuazji. Gdy władze frankistowskie zażądały od właścicieli fabryk i sklepów, aby zwolnili z pracy uczestników strajku, ci odmówili. Świadczy to, że walka mas pracujących Hiszpanii, wywiera wielki wpływ na życie w kraju i coraz bardziej izoluje Franco, którego dziś popierają już tylko wielcy obszarnicy, dostojnicy kościelni, Falanga i generalicja.

— Podobnie jak strajki barcelońskie — mówi drugi delegat — tak i proces Raimundo Lopeza był wielkim zwycięstwem mas. Pod ich naciskiem jak również pod naciskiem opinii publicznej świata, władze frankistowskie zmuszone były zwolnić kilkunastu oskarżonych w tym procesie, chociaż samemu Lopezowi wymierzono 4 lata więzienia.

Na zakończenie rozmowy delegaci pokazują nam cenny dokument: odbity na cienkiej bibuli egzemplarz „Mundo Obrero”, organu hiszpańskiej klasy robotniczej. Ze wzruszeniem oglądamy ten dokument, wyniesiony prosto z pola walki. Tysiące takich egzemplarzy drukuje się dziś w dalekiej Hiszpanii. Tysiące ludzi codziennie naraża życie, jedni składając pismo w podziemnych drukarniach, inni przenosząc je przez kordony policji, aby słowo prawdy dotrzeć nóg do robotniczych mieszkań i chłopskich zagrod, aby chłopom Andaluzji i górnikom Asturii przypominać, że Hiszpania żyje i jest niezwyciężona. Ten złożony we czworo kawałek bibulki, to drobny ale jakże ważny wycinek wielkiej walki, która żarzy się dziś w górach Kastylii i rozpalą się kiedyś potężnym płomieniem, który zmiecie panowanie frankistowskiej tyranii jej amerykańskich sojuszników.

M. D.

To warto przeczytać

Oddycham morzem*)

Ano zdarza się i tak. Franciszek Fenikowski wyrósł w Poznaniu, tu karmiono go nie tylko mlekiem, ale i wiedzą od szkoły podstawowej poczynawszy, a skończywszy na uniwersytecie, potem wciśniętą na głowę kapelusz i „rozbił namioty” nad morzem. Zdradził ziemię wielkopolską, a oddał morzu i Wybrzeżu nad swój talent poetycki, oddał i serce.

Trzeci tomik poezji, który ukazał się po powieści „Zakręć pięć gwiazdek”, świadczy o tym najlepiej. I co „gorsze”, w ostatnim tym zbiorze ujawnił dalszy rozwój swego talentu. Wiersze nie wszystkie są nowe, powstawały one w różnych latach powojennych, ale związane z tematyką morską i z tej przyczyną weszły do tego bukietu poetyckiego.

I cóż tam w nich nowego? Bo tego najczęściej szuka się w poezji. Wiele. Nowi ludzie, nowe czasy, nowe naprawde (nie odświeżane, jak to nieraz bywa) bogactwo myśli, po-

równań, czaru. Nie będę tych wierszy dokładnie omawiał. Wiersz każdy trzeba przemysleć, przeżyć. Wtenczas go się właściwie rozumie.

Morze każdemu z nas jest bliskie. Łączy się ono nie tylko z uczuciami, ale i z naszą gospodarką, bogactwami. Toteż bliskie nam są słowa ostatniej poety w tomiku poezji:

Spojrż malarzu: srebrnym, lazurem
morskie żniwo w oczy wbrzyńcie...
Ryba kłosem jest w dłoniach, które
przyorały morze ojczyźnie!

Czytając „Oddycham morzem” naprawdę przeżyjemy, wraz z poetą pobyt nad morzem. Przy tej okazji zaglądamy do stoczni, do Gdańska i do Fromborku i jeszcze więcej! Igniemy sercem do Bałtyku, tak jak do niego przylgnął autor.

J. P.

*) Franciszek Fenikowski: „Oddycham morzem”, str. 38, wyd. Książka i Wiedza.



Jezioro Ancylusowe



Morze Yoldiowe

Pajaki polują na ryby

Prawdziwym rozbójnikiem w środowisku wodnym jest chrząszcz wodny — żółto-brzeżek, znany wszystkim hodowcom ryb oraz przyrodnikom. Atakuje on młode narybek całymi stadami. Także i pajaki są znane jako rozbójnicy wodni: w pierwszej jednak linii pajaki z gatunku Dolomedes. Pajak z tego gatunku przyczepia się przeważnie do grzbietu rybki, która przerażona stara się pozbyć rabusia, przez ocieranie o rośliny wodne i korzenie. Przeprowadzone obserwacje udowodniły, że pajak długości 2,2 cm może unieść rybę długości 8 cm i o wadze 390 g. Inne znają sposoby wyławiania, że pajak wodny wielkości 2 cm potrafił spuścić się z drzewa z wysokości 3 do 4 m na wodę i uczepił się głowy ryby. Ryba była długości 7 cm i przerażona pływała, zataczała szerokie koła. Później zanurzyła się do gruntu, by w końcu nagle wypłynąć na powierzchnię. Następnie przewróciła się na wznak i zdechła. Pajak nadal do niej przyczepiony, popłynął w stronę brzegu.

Innego znowu pajaka, a mianowicie z rodziny wilczych, zaliczyć należy również do okrutnych rybich rabusiów. Owe silnie zbudowane pajaki, żyją nad brzegami jezior, stawów oraz rowów. Budują — przeważnie między kamieniami — skrzydlate sieci, w dwóch ramionach, z których jedno wchodzi w wodę. Szczególnie po opadach deszczowych snują swe sieci, kiedy stan wody wzrósł. Gdy przypadkowo podrygną larwy jaszczurki i znajdzie się blisko sieci, wówczas plynący pajak za nimi, wpędza je do środka i chwytą jedną z nich. W ten sposób skołowana reszta, wchodzi sama do matni.

Warto dodać, że do tej samej rodziny zalicza się tarantulę, która podobnie jak wszystkie inne pajaki z gatunku wilczych, należy do najjadowitszych.

J.

Z wakacyjnych wędrówek

Magiczne słowo: Necel

W podróży rowerowej nie można wyliczyć trzy mać się leśnymi i polnymi ścieżkami. Wyjazd na główną szosę daje możliwość „zahaczania” o większe miasteczka. Przekonujemy się o tym, wyjeżdżając późnym sobotnim popołudniem, do Kościerzyny. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że w tym cichym, ładnie położonym miasteczku dostać można w barze mlecznym doskonałe zsiadłe mleko, które za jednym zamachem wypędza z nas całodziennie zmęczenie. Na rynku — gwarno, jak zwykle wieczorami w małych miasteczkach. Grupki młodzieży skupiają się przy radiowym głośniku, słuchając transmisji pierwszych uroczystości złotych.

Po krótkim odpoczynku mimo późnej pory ruszamy w dalszą drogę w kierunku Kartuz. Drobny przenikliwy deszczyk stara się nam przeszkodzić w tym zamierzeniu. Do pomocy przychodzi mu zapadający mrok, tak, że podróżnicy kapitulują i szukają noclegu u sołtysa gromady Egertowo.

Sołtysowski pokój, w którym jemy kolację, oświetlony jest jasno elektryczną lampą. Z kąta pod oknem, gdzie stoi „Pionier” dochodzą wiadomości dziennika wieczornego. „W Wielkopolsce rozpoczęto pierwsze prace żniwne”. Sołtys uśmiecha się i dodaje, że na Pomorzu jeszcze nie myślał wcale o żniwach. Żyto jeszcze prawie zielone. Przymorski klimat opóźnia dojrzewanie roślin i owoców.

Rozkoszny nocleg przygotowano nam nad chlewikiem, na sianie. Długo w noc dochodzi z dołu pomrukiwanie krów i chrząkanie maciory, która ku zmartwieniu gospodarza urodziła przed paru dniami tylko pięć prosiąt...

Następny dzień jest niejako uwieńczeniem całej po-

dróży. Docieramy do Kartuz, stolicy „Szwajcarii Kaszubskiej”, jednego z najpiękniej położonych miast, województwa gdańskiego.

Najpierw garść wspomnień historycznych. Miasto związane jest z dziejami klasztoru kartuzów, sprowadzonych tu w r. 1381 z Pragi czeskiej przez magnata pomorskiego Jana z Ruchoci-na. Pierwsi zakonnicy należeli do narodowości niemieckiej. Zakon odegrał dużą rolę w dziele germanizacji ziem kaszubskich. Podczas wojny 13-letniej jeden z przeorów próbował wspólnie z wojskami krzyżackimi zorganizować napad na Gdańsk.

Zabytkowy kościół klasztoru w Kartuzach, zbudowany w 1403 r., to jednonawowy



W pracowni ceramicznej Necela wszystkie ozdobne wazy i dzbanki malowane są ręcznie.

gotyck z kamienia i cegły. Dach miedziany przypomina swym kształtem trumnę. Wnętrze kościoła posiada wiele cennych zabytków sztuki, których dokładne obejrzenie wymaga paru godzin czasu.

Opłaca się również z nadwyżką trud spaceru aleją od kościoła wzdłuż jeziora. Rozciągający się na zbiegu ładny bukowy las nosi nazwę Gaju Świętopełka. Niedaleko stąd napotykamy zalesiony pagórek o kształcie regularnego kopca, z wieżyczką i ruiną kaplicy na szczycie. Ka-

płiczka została kiedyś zbudowana przez kartuzów, aby przeszkodzić odbywaniu się tu „szadzek czarownic”. Z innych ciekawych miejsc wymienić należy wysoką na 222 m Górę Zamkową ze śladami dawnego zamczyska i najpiękniejszym rezerwatem bukowym na Pomorzu. Stare drzewa, których wiek określa się na przeszło 200 lat, dochodzą do 30 m wysokości.

Nie można wyjechać z Kartuz, nie zobaczywszy jeszcze ciekawych zbiorów Muzeum Kaszubskiego. Podziwiamy tu interesujące dla badaczy sztuki ludowej okazy ceramiki, rzeźby zabytkowej i współczesnej, hafty ludowe, obrazy na szkle, wyroby z korzeni, wycinanki, sprzęt domowy i różne narzędzia gospodarskie. Wszystko to wykonane rękami prostych ludzi, uzdolnionych artystów ludowych i samouków.

Obiad w schłodzonej gospodzie spółdzielczej kończy nasz pobyt w stolicy ziem kaszubskich.

Chmielno — oto dalszy etap podróży. Nasz towarzysze Geniek dziwi się, że uparcie dążymy do tej miejscowości. Przecież jest tyle innych, nie mniej pięknych. Potem pada jeszcze jedno magiczne słowo: Necel. Dla nie wtajemniczonych te dwa wyrazy nie znaczą. Dla znawców zaś sztuki ludowej — to pewnego rodzaju Mekka i Mahomed. Tam bowiem poznać można starą ludową sztukę garncarską.

Garnci? Są ludzie, których w ogóle nie obchodzi kształt i piękno naczyń kuchennych, lub wazonów. Byleby był praktyczny i użyteczny. Ale są i tacy, co zakochują się w... kubkach, wazonach, garnkach, przywiązują się do nich, jak do najbliższych z otoczenia. Ta kategoria ludzi nie tylko chętnie rzeczy artystyczne gromadzi, celem ozdobienia domu, ale i wydaje artystów z prawdziwego zdarzenia.

Do nich właśnie należy pokolenie Necelów w Chmielnie. Postanawiamy zwiedzić ich warsztat. Szczupły blondyn, o spokojnych niebieskich — tak charakterystycznych dla Kaszubów oczach nie jest zadowolony z naszej wizyty. Bywają u niego i historycy i badacze sztuki ludowej, profesorowie szkół wyższych, goście zagraniczni, turyści różnej maści, raczej przeszkadzają w pracy jemu i jego kilkunastoosobowej rodzinie, tworzącej obecnie spółdzielnię garncarską, pracującą dla Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego. Słowa Necela są skape, ale to co widzimy uzupełnia jego informacje.

Na naszych oczach toczy się koło garncarskie. Młody, pracownik popycha je nogą (inne mają już napęd elektryczny), a na kole kamien nym wprawne jego palce wy-czarowują z bryły gliny (od-

leżalej przez rok) kształt miseczek. Na brzegach jej rzeźbi jeszcze koronkę, przegina w połowie i tak powstaje koszyczek do cukierków i owoców. Już jest ładny, chociaż wiele jeszcze będzie pracy około niego, bo trzeba go będzie pomalować i wypalić potem...

Zagladamy na wyższą kondygnację pracowni. Pod oknem na wypalone już wyroby malarka nakłada ozdoby kaszubskie.

Coś mają one wspólnego z ozdobami górali tatrzańskich. Wyraźne podobieństwo koloru. Dziwnie — bo przecież te dwa regiony tak są od siebie odległe. Pracownia Necela ma 7 zasadniczych wzorów kaszubskich, niezwykle cennych, bo stosowanych i niezmienionych przez przeszło dwieście lat!

— Dwieście lat?

— Tak, ja już należę do ósmego pokolenia garncarzy. Tak długo przynajmniej nasza rodzina prowadzi ten warsztat. Z początku wyrobiła się tu zwykłe garnki, dopiero po wojnie warsztat przeszedł z ceramiki czysto użytkowej na ceramikę półużytkową, na ozdobną, przy czym zachowujemy dawne kształty naczyń, rysunki i barwy ozdób.

Ozdoby kolorowe zakryje z kolei tlenek ołowiu, który w czasie powtórnego wypalania da naczyńmi błyszczącą polewę i trwałość barwom. Po tem wazony, wazoniki, miski, miseczki, dzbanki, kubki i filiżanki powędrują do sklepów CPLA, a poprzec nie do naszych mieszkań.

Przejażdżka z Chmielna w stronę Wieżycy, może zadowolić najwybredniejsze gusty turysty. Droga wije się serpentyną brzegami jezior Wielkie Brodno, Ostrzyce, odsłaniając pozostające na długo w pamięć krajobrazy. Jedziemy znanym szlakiem turystycznym, odwiedzonym licznie przez wycieczkowiczów. Zawiedzie on nas wkrótce do stóp najwyższego na Pomorzu wzniesienia (329 m). Godzinna wspinaczka na Wieżycę wyczerpuje trochę nogi i serce, ale opłaca się dla pięknych widoków, jakimi można napawać się stającymi na jej szczycie. Nasz harmonogram podróży pozwala nam odpocząć tu niecałą godzinę. Ruszamy więc wkrótce stromą ścieżką w dół, wydostając się na dobrą szosę, biegnącą spowrotem w stronę Kartuz.

Po kilkunastu kilometrach jazdy rowery skręcają połą drogą w las. Wjeżdżamy w dolinę rzeczki Raduni, opiewaną i wychwalaną we wszystkich przewodnikach po ziemii kaszubskiej. Dolina zwłaszcza w okolicy Babiego Dołu istotnie jest uroczą, Radunia wije się tu jak zaskro-

nę, wyżłobiwszy sobie koryto w leśnym terenie. Brzeg nierzadko spada stromą ścianą pokrytą bujną roślinnością. W niektórych zaułkach jaru trudno dostrzec okiem wstążkę rzeki, zaledwie migocząc pod siatką drzew i krzewów. Przedzieranie się przez tę swoistą dżunglę aczkolwiek trudne daje niemałą dozę emocji. Kapiąc się w prawie lodowatych wodach Raduni przyrzekamy kiedyś w przyszłości poświęcić jej więcej czasu.

Pożegnanie z uroczą doliną jest tym smutniejsze, że jest to już ostatni naprawdę ładny odcinek naszej trasy. Tak jak każda rzecz, wędrówka wakacyjna ma swój koniec. Zwiadamy jeszcze tego samego dnia dużą wieś Zukowo, której cennym zabytkiem architektonicznym jest gotycki kościół poklasztorny z XIV wieku (wewnątrz wspaniały tryptyk antwerp-ski z 1500 r.). Stąd już niedaleko do Gdyni, do której docieramy wczesnym rankiem dnia następnego. Stamtąd kolej zawiezie nas z Wybrzeża do rodzinnego Poznania.

Skończyła się kolarska włóczęga po pięknej kaszubskiej ziemi. Pozostały zakurzone rowery, wygniecione plecaki, przeszło setka zdjęć oraz dużo najprzyjemniejszych wspomnień. Chcemy, by te wspomnienia przetrwały w nas jak najdłużej, by zachęcały do poznania i ukochania innych zakątków naszej pięknej Ojczyzny.

Julian Mikołajczak
Józef Pieprzyk

Zakwitła królowa nocy



Piękny park narodowy w Oliwie słynie na całą Europę nie tylko z roślinności alpinarium i pięknych dywanów kwietnych — ale szczyci się „oknem na morze”. Między dwoma ścianami drzew widać bezkresną dal naszego morza.

W tymże parku jest palmiarnia nie tak duża jak w Poznaniu, ale mająca także piękne okazy.

I właśnie tam żyje sobie kaktus znany nam pod mianem królowej nocy (cercus grandiflorus). Roślina ta pochodzi z Meksyku. W naturalnych warunkach pnie się po ziemi u nas jednak szuka słońca i delikatnymi pedami opłotła całe okno. Królowa nocy kwitnie raz na kilkadziesiąt lat mając 1 lub 2 kwiaty. Zakwita o zmroku, aby w nocy całkowicie się rozwinąć, a o wschodzie słońca pozostawić opadłe płatki kwiatu i bardzo silny zapach waniliowo słodki.

Tym razem dzięki pomysłowi tamtejszych inżynierów, umożliwiono obejrzenie tego rzadkiego kwiatu jeszcze w dniach następnych, bowiem w nocy kwiat obcięto, umieszczono w wodzie i wsunięto druciany kłaczek do wnętrza kielicha, co nie pozwoliło mu na zamknięcie się. Popatrzmy jak wygląda królowa nocy.

BILL PROLETARIAT

Bill O'Liara kończył właśnie opowiadać kolegom emocjonujący przebieg wczorajszego meczu rugby, gdy do pokoju wszedł Annie Kissme.

— Bill, wzywa cię szef gospodarzy.

— Już idę, słiznotko. — Ale nie pchaj się do niego z tą ka uśmiechniętą gębą. Wiesz, co powiedział? Powiedział: niech-no pani sprowadzi tego młodego matolka O'Liara. Na pewno ci gaży nie podwyższy.

Billowi zrzęda mina. Szefa gospodarzy bali się wszyscy. Do redakcji „Głosu Ameryki” przyszedł dopiero przed miesiącem, ale w dziale gospodarczym już czuł się jego twarda reka. Był milczący, z nikim się nie ufał, nikt nie znał jego prywatnego życia. Po redakcji krążyła jednak plotka, że poprzednio pracował w FBI. Dlatego też nikt nie próbował nawet z nim zadzierzać.

Szef spojrział na Billa i bez słowa, oszczędny gestem dłoni wskazał mu krzesło.

— Złoty pan — powiedział — felieton na temat wyzysku robotników w komunistycznej Polsce...

Bill błyskawicznie w myśli przebiegł treść swego felietonu. Gdzie mógł strzelić byka? A właśnie ten felieton zaliczał do udanych. Stary Backside byłby z niego na pewno zadowolony.

— W felietonie tym — ciągnął szef — mówi pan, że komunisti wyzyskują robotników, że wszystko, co się w Polsce wyprodukuje jest wywożone na wschód, do Rosji, że robotnikowi rzuca się tylko ochłapy: musi on jeść chleb wypieczony z trocin i odziewać się w stare worki, jakie jeszcze w Polsce zostały po hitlerowcach. Słiznie. Ale po co to wszystko?

— Jak to, po co? — Bill nie zrozumiał pytania.

— Tak, po co pan to pisał? Przecież robotnicy w Polsce wyciągają takie bzdury.

Nagle myśli, jak błyskawica, rozjaśniła głowę Billa: nowy szef, agent FBI, chce go sprowokować.

— Na pierwszy rzut oka — ciągnął dalej szef — poznałem,

że nie odznacza się pan inteligencją. Myślałem nawet o tym, aby pana stać od razu wyłać i skierować do wojska. Ale chcę dać panu ostatnią szansę. Jeśli złapie pan właściwy ton, to może pan się nada. O co więc chodzi? Felieton, który pan napisał, mógłby pojąć w naszej prasie. Nasz czytelnik uwierył w to, jest bowiem dostatecznie przygotowany. Ale nie uwierył w to, że żaden człowiek w Polsce, Dlatego trzeba pisać inaczej. Jak? Dam przykład. Proszę: oto felieton, napisany przez naszego nowego współpracownika, który niestety z powodu nawalu innych zajęć nie może przyjechać do nas na stałe. Jest to węgierski działacz polityczny, młody Gogonyi. Niedawno udało mu się zbiec z żoną i żelaznej kurtyny. Niech pan czyta.

Oszolomiony Bill starał się uświadnie wyczytać w felieton. Ale choć nateżał wszystkie swoje władze umysłowe, nic z tego nie rozumiał.

— Przecież — powiedział w końcu — tu nie ma propagandy. Dema Gogonyi pisał tylko o tym, że w ustroju demokracji ludowej powinno się dla wszystkich robotników, bez względu na kwalifikacje, wprowadzić jednakowe płace, bo wszyscy mają jednakowe żołądki.

— Ożół to! — Co? — spytał głupawo Bill. — To, czego nam potrzeba. — Po co?

— Z pana inteligencja jest gorzej niż myślałem. Mam nadzieję, że robotnicy w Polsce uwieryą w to, bo przecież pachnie to zrównaniem płac, „równością”, „sprawiedliwością”.

Bill zdecydował się. To na pewno prowokacja. Trzeba okazać się prawym i szlachetnym. Zajął się więc, lecz powiedział:

— To jest socjalistyczna bzdura.

— O, właśnie, zaczyna pan rozumieć. To wygląda na socjalizm. Dlatego robotnicy mogą uwieryć. A jeśli uwieryą, cel naszej propagandy będzie osiągnięty.

— Jak to? — Billowi znów za-

— To proste. Jeśli np. pracownik pocztowy będzie zarabiał tyle samo co górnik, kto będzie chciał pracować pod ziemią w kopalni? Jeśli robotnik wykwalifikowany nie będzie zarabiał więcej niż niewykwalifikowany, kto będzie chciał podnosić swoje kwalifikacje, uczyć się, zdobywać zawód? Komunisti będą musieli zamknąć swoje szkoły zawodowe, których „le naotwierali”. System płac jest w ustroju demokracji ludowej jednym z czynników pobudzających produkcję, pobudzających robotników do podnoszenia swoich kwalifikacji. Felieton Dema Gogonyi uderza właśnie w ten system. Uderza mądrze, przebiegle. Tak właśnie trzeba pisać. Rozumie pan?

— Tak szefie — powiedział Bill z zametem w głowie.

— Wiele niech pan pisać w tym stylu. Zamawiam u pana felieton o wielkich budowlach socjalizmu w Polsce. Ale w tym stylu. Tylko w tym stylu. Inne-go nie przyjmę. A jeśli pan nie nauczy się tak pisać — to droga do wojska stoi otworem. Na Korea potrzeba nam ludzi. Radzę się zastanowić. Może pan odejść.

Dopiero zamykając obite skórą drzwi gabinetu szefa Bill zrozumiał o co chodzi.

— No i co — spytała współczująca Annie — wyłaził cię? — Bill poklepał ją poufale.

— Wrecz przeciwnie, katechku, wrecz przeciwnie. Jestem na najlepszej drodze do kariery.

— W jaki sposób?

— Trzeba mieć inteligencję, moje dziecko — oto cały sekret. Zegnaj.

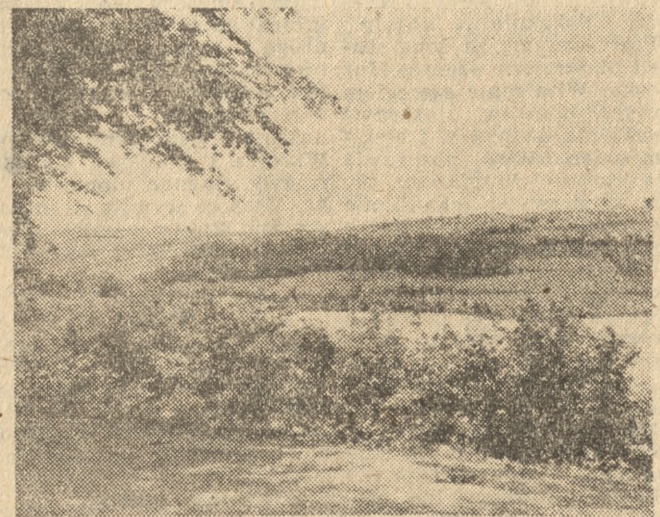
— Dokąd idziesz?

— Do szynku w porcie. Muszę nasłukać problematyka równości.

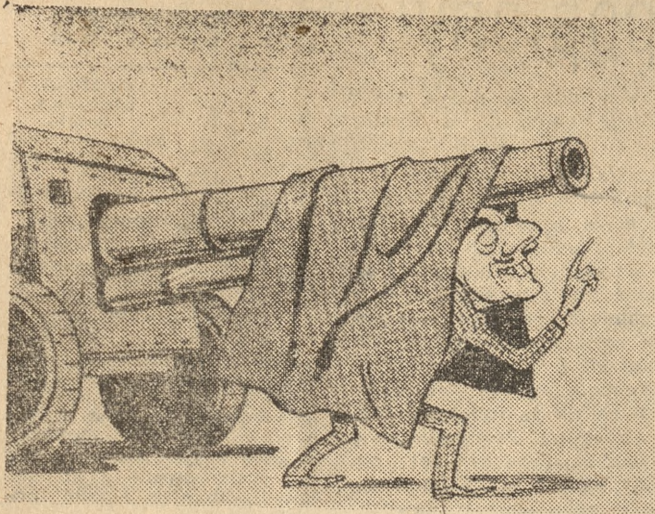
Oczy Annie zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Od drzwi Bill zawołał jeszcze do niej:

— No i oczywiście zmieniam swój pseudonim. Będzie się odtąd podpisywał: Bill Proletariat. Tak, to obecnie najlepszy pseudonim.

I dumnie wyszedł z redakcji. ZS.



Fot. (2) Eugeniusz Cefta
Droga biegnie brzegami jeziora Wielkie Brodno...



— Chwileczkę, zaraz wyleci gołąbek...

Tadeusz Multański

Wszędzie źle, gdzie nas nie ma

W iecie, kolego Ostrowski — kierownik Ziółko podsunął papierosnice — w dziale planowania dzieje się źle. Co tu dużo gadać, jestem kierownikiem działu realizacji, to się orientuje. Jeżeli tak dalej pójdzie, na pewno nie wykonamy planu.

— Wy tak zaraz tragicznie!... — próbował wtargnąć Ostrowski. Ale kierownik Ziółko nie dał mu dojść do słowa:

— Powinnościście ten cały dział planowania opisać w gazecie. Jesteście przecież korespondentem i krytykować to wasz obowiązek... Ob. Perełka stanowczo nie nadaje się na kierownika tak odpowiedzialnego działu, a poza tym wczoraj nie ukłonił mi się na ulicy. Udał, że nie widzi... Zatem nie zwlekajcie tylko pisać, taka zdrowa krytyka wyjdzie tylko na dobre działowi planowania.

2

— U mnie w dziale planowania, odkąd ja jako kierownik mam osobny pokój, robota idzie, że tak powiem, idealnie. — Tu ob. Perełka westchnął.

— Widzę, kierowniku, że jednak coś wam dolega — rzekł Ostrowski.

— Jak nie ma dolega, kiedy całe wysiłki człowieka idą na marne... Powiem wam poufnie: ten kierownik planowania kol. Ziółko już od dawna mi się nie podoba... Wczoraj stał w kolejce po bilety do kina. On już od dawna robi na mnie wrażenie człowieka, który znajduje się na nieodpowiednim stanowisku. O, ja bym go nauczył, jak się pro-

wadzi dział realizacji. Ale co będę dużo gadał, kiedy wy sami orientujecie się doskonale. Po- wiem wam po prostu: obsma- rujcie go w gazecie, to zaraz się wszystko naprawi i robota pójdzie jak w zegarku.

3

— Uszanowanie, kol. Ostrowski... I co słychać? Kto następny padnie pod ciosem waszego ciężkiego pióra?

— Przesadzacie, kierowniku Drewno...

— Ja przesadzam? To mnie nie znacie. Zresztą przekonajcie się sami. Zairzyjcie do działu produkcji. Nie, nie mówię, że tam w ogóle jest źle! Nie, ale są tacy, którzy wykonują robotę ot po prostu, aby zbyć. Brak roboty... Są tam tacy, tak... A rezultaty? Jakość produkcji spada, śpią się reklamacje w o- góle jest coraz gorzej... Wicie, co wam powiem, redaktorze? Od was zależy, aby naprawić zło. Opiszcie ten dział w swojej korespondencji. Recze, pomo- że.

— Bardzo wam na tym zależy? — odezwał się Ostrowski. — Mało zależy, ta sprawa leży mi na sercu.

— To się chwali. Nie wiedziałem jednak, że zostaliście kierownikiem działu produkcji. Tak doskonale znacie niedociągnięcia w pracy tego działu...

— Ależ ja jestem przecież kierownikiem działu inwestycji, a dobro pracy w dziale produkcji leży mi tylko na sercu.

4

— Dobrze, że was spotkałem, kolego Ostrowski. Drogi przy- jacieli, znacie mnie nie od dzia- sia, a także moje zasługi po- łożone dla dobra przedsiębiorstwa na stanowisku kierownika działu produkcji. Jeżeli jednak ro- bota nawali, to nie będzie moja wina, ale kierownika działu in- westycji, ob. Drewno... Ja za- wczas umyślam ręce. Wy je- steście jedynym człowiekiem, który za pomocą zdrowej kry- tyki, będącej zdobyczą, może uratować naszą instytucję przed katastrofą.

5

Do pokoju, w którym pracuje Ostrowski, wpadł kier. Ziółko.

— To jest skandal, panie O- strowski! — zawołał oburzone! — Wypisywać podobne rzeczy w gazecie...

— Hm, swoją korespondencję opieram przecież na infor- macjach, udzielonych mi między innymi przez pana, kol. kierow- nika.

W tym momencie wtargnęli do pokoju kierownicy Drewno, Przecinek i Perełka.

— Panie Ostrowski, ja sobie wypraszam, aby o mojej osobie wyrażać się w tak złośliwym spo- sób! — odezwał się kier. Drewno.

Kierownik Przecinek zaś do- dał, mając na myśli swoją osobę: — To jest podrywanie autory- tetu!

— To jest szkoderstwo dobrej opinii naszego zakładu — dodał kierownik Perełka.

— Chwileczkę, koledzy, widzę, że się nie rozumie — rzekł Ostrowski. — Przeczytajmy spo- kójnie moją notatkę:

„W fabryce narodził się źle, co grozi niewykonaniem planu. Sądze, że należałoby dokonać tam pewnych przesunień per- sonalnych. A mianowicie: kierow- nika działu realizacji ob. Ziółko przenieść na miejsce kierownika działu planowania ob. Perełki, kierownika działu planowania ob. Perełkę na miejsce kierow- nika działu realizacji ob. Ziółko, kierownika działu inwestycji ob. Drewno przenieść na miejsce kierownika działu produkcji ob. Przecinka, zaś kierownika dzia- lu produkcji ob. Przecinka na miejsce kierownika działu in- westycji ob. Drewno. Jeżeli orien- tują się oni nawzajem tak do- skonałe w pracy nie swoich działów, potrafią usunąć nie- wątpliwie w nich błędy i niedo- ciągnięcia, a tym samym dopo- moga do wykonania planu...“

— Sądze, że miałem rację, ko- ledzy, prawda?... —

Wdzięczność senatora

Zebra- nie konwencji przedwyborczej zbli- żało się ku końcowi. Pozo- stała jeszcze do przedysku- towania kwestia ponownej kandydatury Mr Stimesa na senatora stanowego. Głos zabrał młody nauczyciel Grey.

— Jestem zdecydowanie przeciwny wysunięciu kan- dydatury Mr Stimesa. Pod- czas urlopu bawiłem w Wa- szyngtonie, gdzie miałem do- skonałą okazję zapoznania się z ciemnymi sprawkami-ego amatora na fotel sena- ki.

Zebrani podnieśli głowy i z zaciekawieniem zaczęli się przypatrywać zapalonemu mowcy. Oczekiwali rewela- cji...

— Czy wiecie, że Mr Sti- mes przyjął od pewnego wyż- szego urzędnika stanowego 5 tys. dolarów łapówki, na- zatuszowanie jego nadużyć, sięgających wielu dziesiąt- ków tysięcy dolarów? Sena- tor umorzył mu sprawę, a ślady malwersacji pozacie- rał. Dowody na to — są w moim ręku!

Ta historia wywołała u niejakiemu Mr Smitha wiel- kie zainteresowanie. Na twa- rzy jego ukazał się uśmiech zadowolenia. Zapalony mow- ca demaskował w dalszym ciągu przekupnego senatora.

— Czy wiecie, ile zapłacił Stimesowi pewien fabrykant konserw, aby otrzymać za- mówienia na dostawy dla armii? Całe 50 tys. dolarów. Chyba nieźle ma dochody nasz senator...!

Mr Becker z przedostat- niej ławy przymrużył oczy i zamyślił się.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął dalej podniecony Grey. Senator Stimes patro- nuje bandzie, która posiada

rozgałęzioną sieć salonów hazardowych. Te jaskinie gry prosperują zupełnie le- galnie. Oczywiście w cieniu opiekunich skrzydeł wpły- wowego opiekuna w osobie senatora Stimesa.

Zajęci rozmową młodzień- cy Tom i Dick ustawili u- szu, zamienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia i skinęli do siebie głowami.

Konwencja przedwyborcza skończyła się nad ranem. Wagon jadalny pociągu po- spiesznego zdążającego do Waszyngtonu był tego dnia wyjątkowo przepełniony. Mie- dzy podróżującymi spotkać można było wielu uczestni- ków minionej konwencji. Je- chał także Mr Smith, Mr Becker oraz dwaj młodzień- cy Tom i Dick.

W gabinecie senatora Sti- mesa w Waszyngtonie pierw- szy pojawił się Mr Smith. Groził mu skandal i więzie- nie. W kasie miejskiej zabra- kło bowiem sumy z kilkoma zerami. Po paruminutowej rozmowie z senatorem, ten ostatni schował niedbale czek z podpisem Mr Smitha do kie- szeni i klepiąc go przyjaźnie po ramionach, powiedział:

— Bądź Pan spokojny! Wszystko jest załatwione. Ale, kto właściwie przysłał Was do mnie? Czyżby mnie już tak dobrze znano?

— Podczas konwencji przed- wyborczej rozprawił szeroko na temat Pańskiej osoby Grey. Jakis postrzelony na- uczyciel...

Senator uśmiechnął się pobłażliwie.

Następny zjawił się u se- natora Mr Becker. Właściciel wielkiej fabryki makaronu. W paru słowach doszł do po- rozumienia. Dostawy do woj- ska — w zamian czek z po- ważną sumą do kieszeni Sti- mesa.

Tom i Dick zabawili nieco dłużej w gabinecie. Przywie- źli ciekawy plan, rozbudowy w całym stanie salonów gry oraz spelunek z narkotykami. Senator raczył przyjąć łaskawie, zaproponowany mu protektorat, chwalił dosko- nałe przemyślanie schemat przyszłego przedsiębiorstwa oraz... wziął grubą zaliczkę na poczet przyszłych zysków.

W tydzień później nauczy- ciel Grey otrzymał od sena-

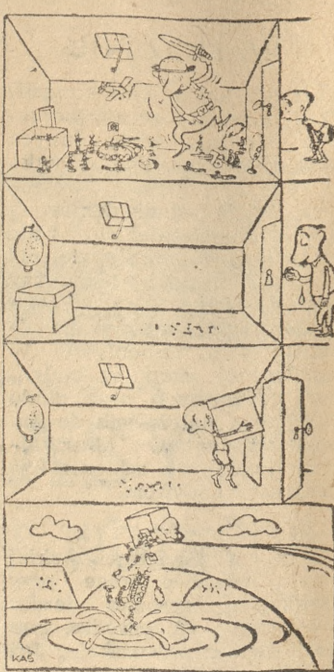
tora Stimesa z Waszyngtonu krótki list, do którego za- łączony był dyskretnie czek. Oto treść pisma:

„Wielce Szanowny Panie! Jest mi nad wyraz przyje- mnie mieć przyjaciół w szer- okich kołach naszego wiel- kiego kraju i wspaniałego narodu. Oczywiście, że szcze- gólnie zaliczam do nich Sza- nownego Pana. Proszę na- dać, podczas wszystkich ze- brań w Waszym Okręgu, czy- nieć mi w podobny sposób re- klame. Jestem Panu niezwy- kle zobowiązany za zdobycie mi tylu zwolenników. Jako dowód mej wielkiej wdzięcz- ności, pozwalam sobie dołą- czyć czek na skromną sumę, który niech będzie symbo- lem i wyrazem oceny Pań- skich zasług.

Licząc na dalsze łaskawe poparcie

Senator Stimes
(Jot)

Za „żelazną kurtyną“



Ojciec i syn



— I pomyśl, że ja się ani trochę nie denerwuję...

Back
POWOLNY

— Osiem lat była pani zara- czona, panno Marto. Podziwiam pani wytrwałość. To chyba było bardzo monotonne.

— Ale skąd, przecież to nie był zawsze ten sam narzeczony!

— Wiesz co, mamusiu, bedzie- my się bawić w ogród zoologicz- ny. Ja będę małpka, a ty pu- blicznością, będziesz mi dawała cukierki i ciastka...

Matka: — Spójrz Tadziku, ta ryba żywi się wyłącznie sardyn- kami.

Synek: — A jak ona otwiera sobie pudełko?

Ze wzruszeniem dziękuje oj- cieć człowiekowi, który urato- wał jego tonącą córkę:

— Narzął się pan na wielkie niebezpieczeństwo, drogi panie...

— Ależ nie, proszę pana, ja jestem już żonaty.

— Ten książę Szmreński stał się ostatnio niezwykle hardy i zraża sobie tym znajomych Anglików.

— Jak się to objawia?

— Odwiedzając ich idzie fron- towymi schodami, mimo że wy- raźnie napis przy wejściu głosi: „Służba i domokrący mają cho- dzić tylnymi schodami“.



WSPÓŁLOKATORKA:
— Ojciec, tyle krzyku o tych pare drobiazgów!



WSPÓŁLOKATOR:
— Żeby się narzeczcie skoń- czyły te wieczne spory o licznik...



Bez słów

Wybory u nich

Na przedwyborczej konfe- rencji prasowej w Nowym Jorku kandydat na prezy- denta — senator Taft mó- wi:

— Między innymi zlikwi- duje gangsterizm...

Przerywa mu jeden z obec- nych:

— Przepraszam panie se- natorze. Czy aż tyle jest wolnych etatów w policji?

— Eisenhower ceni niezwy- kle wolność — woła w zapa- le krasomówczym mówca na wiecu propagującym wodza Atlantyku.

— Dlatego prawdopodob- nie zamknął ją do więzie- nia, aby mu jej nikt nie u- kradł — kończy półgłosem jeden ze słuchaczy.



Bez słów.



Bez słów



— Widzę, że dzisiejsza roz- grywkę tenisową z żoną pan wygrał?

Witold Degler

Jaka pani opalona!

Panna Anna nie w humorze: błada twarz z niej — aż niemiło! Mietek chwycił ją nad morzem, cóż — gdy słońce nie chwyciło!

Z pani Mani zaś mularka — któż jej latka dziś obliczy? Rzec by można: czekoladka! — gdyby nie ten brak słodczy...

Zosia również po urlopie patrzy dumnie, jak paw chodzi — nic dziwnego, bo na sobie nosi setkę... plażogodzin!

Panią Lolę ciemny kolor tak wyszczuplił na tych wczasach! Zachwycił się każdy Łolą: „Z ciebie czarna już ok-rasa!“

Pani Ada pragnąc zażyć polowania na mężczyźne, układała się na plaży ubrana w... opaleniznę!

Masłem skórę smarowała Basia — była w Rabce, w Jaśle — stąd też ona (prawe cała) usmażona jest na maśle!

A jodyną wdzięki ciała nacierata panna Nina — gdy się z lubym swym witała, ów zawołał: „O, jodyna!“

Zbyt ufala słońcu Zenia — no i jęczy dziś: „O, rany!“, robiąc na swe poparzenia zimny okład ze śmieszny!

„Byłam w Uście i w Juracie!“ — Genia głoszące twarz brązową... Była — ach, czy wiarę dacie? — była... pod lampą kwarcową!

Sto sposobów warto użyć, warto przeszkód sto pokonać, by na podziw ten zaślubić: „Jaka pani opalona!“